

Piotr Nowak

FILOZOFOWIE
(w trzech słowach)

Państwowy Instytut Wydawniczy

*A pomyślałem w duszy: Cóż są gminne dzieje?
Popiół, w którym zaledwie iskra prawdy tleje;
Hieroglif, mchem zarosłe zdobiący kamienie;
Napis, którym spowite usnęło znaczenie;
Odgłos sławy, wiejący przez lat oceany,
Odbity o wypadki, o kłamstwa złamany,
Godzien śmiechu uczonych; lecz nim się zaśmieje,
Niechaj powie uczony, czym są wszystkie dzieje?*

Adam Mickiewicz¹

Wprowadzenie

Zanim zacznę tę nieco „gminną klechdę” o filozofach polskich tworzących przez ostatnie sto lat dzieła światowego formatu – jak „gminne” bywało życie każdego, kogo historia brała w swoje obroty – chciałbym naprzód skierować spojrzenie w stronę XX stulecia – z niego bowiem wzięła się większość z nas – jednocześnie przenosząc je na egzystencję Polaka, który wzrastał wraz z nim².

Zastanówmy się zatem, co istotnego z punktu widzenia polskiej racji stanu wydarzyło się w 1901 roku? „Dosłownie nic”, jak mawiał pan Grzegorz, hydraulik, gdy pytałem go o postępy w remoncie łązienki. W 1901 roku urodził się natomiast ktoś, kto mówił po polsku, ale nie nabył jeszcze praw obywatelskich swojego kraju; ktoś, kto żył tak jakby w próżni, pochłonięty przez polityczną nicość. Prawa obywatelskie otrzymał wraz z pierwszym dowodem, na osiemnaste

¹ A. Mickiewicz, *Popas w Upicie* (wiele wydań).

² Należy zastrzec, iż moje wprowadzenie nie obejmuje tych myślicieli, dla których doświadczeniem formacyjnym była Wielka Wojna. Myślę tu o Chwistku, Witkacym, Elzenbergu, Ajdukiewiczu. Nie jestem tylko pewien, czy to samo można powiedzieć o Tatarkiewicz i Kotarbińskim, osobach długowiecznych.

urodziny, a więc 11 listopada 1918 roku, w momencie odrodzenia państwa polskiego. Metrykalnie pełnoletni, zalicza też pierwszą poważną bójkę w swoim życiu. Stacza ją z ruskimi bandytami w sierpniu 1920 roku. I od razu wygrywa. Lata 20. i 30. są w jego życiu burzliwe, zarazem formacyjne. Ogarnia go prawdziwy szal, próba wybicia się i określenia. Dąży do stabilizacji, ale faktycznie buduje własne życie – państwo – nie zawsze zgodnie z literą prawa. Polskę i Polaków z tamtego czasu fantastycznie opisuje Dołęga-Mostowicz³, nie on jeden zresztą. Codziennie odbywają się huczne imprezy („Adria”), Franc Fiszer zabawia panie („Oaza”), panują korupcja, bieda, bogactwo, brud, *mania grandiosa*; miłość do Polski równoważona jest miłością do pieniędzy. Polska to „ziemia obiecana”, ale nie dla każdego, dla mniejszości narodowych jakby mniej. Wszystkie te składniki mieszają się ze sobą i wreszcie eksplodują we wrześniu 39. roku. Tym razem łobuzów przyszło więcej, przemogli nas. Przed czterdziestką – to jest właściwie bezsporna reguła istnienia – dzieje się zawsze coś niedobrego. Nie umiemy pogodzić się z pierwszymi oznakami starości, nie wszystko poszło w naszym życiu tak, jak byśmy chcieli. Jednak już lata 40. przynoszą zwrot o 180 stopni. Błyskawicznie dojrzewamy: do Polski, do nowych zadań, do wolności, którą właśnie straciliśmy.

Czy jednak ją straciliśmy, czy też otworzył się dla nas jej nowy wymiar? „Jeśli przyjąć, że to, co narzuca najeźdźca, nie obowiązuje moralnie – wspominał tamten czas Bohdan Korzeniewski – okupacja była okresem wielkiej wolności. Ale też trzeba było wtedy starannie pilnować reguł, które przyjęliśmy sami”⁴. Powiedzmy to mocniej: lata 40. to najlepsze lata w życiu człowieka. Może on wtedy zrobić najwięcej dobrych rzeczy, którym nierzadko towarzyszy autentyczne uznanie, aplauz. Mijające lata 40., chociaż obfitują w liczne sukcesy, jednocześnie stanowią zapowiedź ochłodzenia, mrozu.

³ T. Dołęga-Mostowicz, *Kariera Nikodema Dyzmy* (wiele wydań).

⁴ M. Szejnert, *Sława i infamia. Rozmowa z Bohdanem Korzeniewskim*, Warszawa 1988, s. 13.

WPROWADZENIE

I w rzeczy samej taki mróz egzystencjalny fundują Polsce lata 50. Stalinizm dotyka i przeobraża całe państwo. Po pięćdziesiątce człowiek nie jest tym, kim był dawniej. Drętwieją mu palce u rąk, łupie w krzyżu (wprawdzie łupało wcześniej, ale teraz jak gdyby łupie częściej, intensywniej), sztywnieje kolano, niedomaga serce. Ale nawet pięćdziesięciosześcioletniemu Polakowi czas sprzyja. Budzi się do działania. W październiku 1956 roku dochodzi do zwolnienia z internowania prymasa Polski Stefana Wyszyńskiego. Na łamach przywróconego „Tygodnika Powszechnego” można znów poczytać felietony Kisielea, Stalinogród zmienia się w Katowice, tysiące repatriantów z ZSRR wraca do Polski. Wśród nich jest też przyszła profesor Barbara Skarga, o czym przyjdzie jeszcze powiedzieć. Wreszcie ukazuje się *Światopogląd i życie codzienne* Leszka Kołakowskiego, książka, w której staliniści na powrót stają się marksistami. Na uniwersytety przedostaje się „odwilż”. Radość nie trwa długo. Polakowi znowu doskwiera życie, tym razem – sądzi – chyba trwale. „Mała stabilizacja” – oto czego żąda po sześćdziesiątce. Jest wszakże Polakiem, więc czas, który upływa, nie jest czasem miłym, wakacyjnym. Także tym razem nie obywa się bez wstrząsów. W 1968 roku zamykają mu teatr, zakazują Mickiewicza, biją jego przyjaciół i wyrzucają ich z Polski. W 1970 roku biją jeszcze kogoś, ale to nikt znajomy; może z prowincji, może biją kolegów pana Grzegorza. Nie wiadomo. Mało ciekawe.

Polak w latach 70. wydaje się człowiekiem mocno doświadczonym przez czas. Lecz nawet on – gdy praktycznie stoi już do pasa w grobie – odradza się najpierw w czerwcu 1979 roku na placu Marszałka Józefa Piłsudskiego (wtedy: Zwycięstwa) w Warszawie, potem rok później w sierpniu, w Gdańsku. Umiera 13 grudnia 1981 roku. Gdyby udało mu się przeżyć tamten Grudzień, odczułby, do jakiego stopnia lata 80. zostały naznaczone piętnem umierania. W roku 1989 tworzą się zręby nowej państwowości polskiej, ale to nie jest już jego Polska – nie ma między nami stulatków. Stulatkowie to niebezpieczny dla życia mit, *rara avises*.

A jaki udział w polskim losie mieli polscy filozofowie?

Przede wszystkim trzeba pamiętać o tym, że filozof tępi głupotę przebraną w modne fatałasзки, w efektowne zdania podające się za prawdę lub przynajmniej za zdrowy rozsądek. Przeciwwstawia się tym, co utrzymują, że wiedzą wszystko, podczas gdy nie wiedzą zgoła nic. Jest przekonany o własnej mądrości, ponieważ nie uważa, że wie coś, czego w istocie nie wie. Nie można przecież wiedzieć wszystkiego – powtarza – ten zaś, kto zna odpowiedź na każdy temat, jest głupcem. Albo ideologiem. Innymi słowy, filozof jest mądry, bo nie rozprawia o wszystkim, co mu ślina na język przyniesie. Wiedza, którą posiada, to wiedza nieuchronnie częściowa. W tym miejscu pojawia się pytanie, czy istnieje jakiś niezawodny sposób, który pozwala rozpoznać mądrość i odróżnić ją od głupoty? Na czym przychwycić bezmyślność lubiącą stroić się w pawie pióra pokłasku i podawać za mądrość? Kto stanowi kryteria pozwalające różnicować między tym, co mądre, a tym, co puste i głupie? No, właśnie filozof, ten, co wie, że nie wie. Tak by powiedział Sokrates. Rzecz w tym, że tradycja sokratejska nie przyjęła się między polskimi filozofami. Czy przyjęła się gdzieś indziej? Jeśli już, to w Rumunii. Myślę tu o „kulturalnym ruchu oporu” przeciwstawiającym się sowietyzacji kultury rumuńskiej, jaki stanowiła szkoła stworzona przez Constantina Noikę.

Sam Noica dorastał intelektualnie – mowa o latach 30. ubiegłego wieku – pod wpływem zupełnie mesmerycznej postaci Nae Ionescu. Nie tylko on. Do kręgu najwybitniejszych uczniów Ionescu należeli jeszcze Mircea Eliade, Emil Cioran, późniejszy dramaturg Eugène Ionesco czy wpływowy polityk rumuński Mircea Vulcănescu⁵. Oni wszyscy byli przekonani, że kultura rumuńska została przeznaczona do zadań największych i tak też pojmowali w niej swój udział. Za sprawą ich myślenia cały świat miał przyjąć rumuńską

⁵ S. Antohi, *Kolejką podmiejską do Kastalli: „szkoła” Noiki, kultura a władza w komunistycznej Rumunii*, w: G. Liiceanu, *Dziennik z Păltinișu. Pajdeja jako model w kulturze humanistycznej*, przeł. I. Kania, Sejny 2001, s. 15.

Władysław Tatarkiewicz

Powojnie

Nie tak dawno zapoznałem się ze świeżo wydanymi *Dziennikami* Władysława Tatarkiewicza obejmującymi lata 1944–1968¹. Ten dokument jest wstrząsający. Pierwsze notatki stanowią reakcję na wybuch powstania warszawskiego. Wraz z innymi warszawiakami profesor został ewakuowany z miasta w okropnych warunkach. Miał wtedy pięćdziesiąt osiem lat. Przez okupację pisał książkę o szczęściu. Podczas opuszczania Warszawy, w drodze do Pruszkowa, niemiecki oficer z naszywkami SS wyrzucił jej maszynopis do rynsztoka, krzycząc, że nie ma, że nigdy nie będzie żadnej polskiej nauki, żadnej polskiej kultury ani filozofii. Dosłownie: *Es gibt keine polnische Kultur mehr*².

Potem był Kraków. Gdy wreszcie dotarł do tego „niemieckiego miasta”³, jak o nim mówił, czytał między innymi wiersze Rilkego, które nie przyniosły mu zadowolenia, ponieważ nijak nie przystawały do codzienności. Również filozofia odchodziła od profesora. „Nie wiem, jak to się stało, ale filozofia, która była mi w ostatnich czasach istotną pociechą, nagle przestała mnie przejmować”⁴ – notował.

¹ W. Tatarkiewicz, *Dzienniki 1944–1960*, red. R. Kuliniak, D. Leszczyna, M. Pandura, Ł. Ratajczak, Kęty 2019; tenże, *Dzienniki 1960–1968*, red. R. Kuliniak, D. Leszczyna, M. Pandura, Ł. Ratajczak, Kęty 2021.

² W. Tatarkiewicz, *Dzienniki 1944–1960*, s. 251.

³ Tamże, s. 260.

⁴ Tamże, s. 278.

Spał bez rozbierania się, zawsze na walizkach. Doznawał niekończących się upokorzeń. A to polska klasa robotnicza wyrzuciła go z przydziałowego mieszkania, a to zadatkował u cwaniaka maszynę do pisania, by już nigdy nie obejrzeć ani maszyny, ani pieniędzy. Jego myśli skupiały się albo na jedzeniu, którego nigdzie nie można było dostać, albo na odbudowie Warszawy, odtworzeniu spalonych Łazienek⁵.

Koniec wojny nie zrobił na nim żadnego wrażenia, ponieważ spodziewał się, że najgorsze dopiero ma nadejść. Do ruin Warszawy podróżował z Krakowa samolotem. Był obsesyjnie owładnięty ideą odbudowania uniwersytetu w tym mieście. Ale w Warszawie i w pobliskiej Łodzi swoje rządy zaprowadzali komuniści i oni się nie patyczkowali z nikim. Między nimi był również dwudziestoletni Kołakowski.

Wedle marksistów świat był zbudowany z nader plastycznego materiału. Można było go dowolnie urabiać, trochę jak glinę czy kawałek plasteliny. Wystarczyła do tego wyobraźnia marksistowska i pistolety. Jest taka anegdota, którą opowiadał mi dawniej Stanisław Cichowicz. Na seminarium u Tatarkiewicza Kołakowskiemu wypadł zza paska pistolet. Potem właściwie nigdy nie spierano się, czy był to faktycznie pistolet i czy był to Kołakowski, czy może kto inny. Przedmiotem sporu było jedynie to, czy historia z pistoletem miała miejsce na seminarium u Tatarkiewicza, czy jednak u Kotarbińskiego.

⁵ Swoistym hołdem dla Łazienek i szerzej: dla całego Ujazdowa były wydane w latach 60. ubiegłego wieku *Łazienki warszawskie* Władysława Tatarkiewicza (Warszawa 1968). Druk tej monografii – napisanej w pierwszej połowie lat 50. i gotowej do publikacji – zatrzymał niejaki Rafał Glücksman, postać ze wszech miar ponura i w tamtym czasie bardzo wpływowa, zwłaszcza w środowisku wydawców i historyków sztuki, nad którymi sprawował nadzór z ramienia partii. Zob. W. Tatarkiewicz, *Dzienniki 1944–1960*, s. 525, 549, 580. Zresztą publikację *Łazienek warszawskich* powstrzymał w sensie dosłownym: odebrał od Tatarkiewicza maszynopis i nie chciał mu go potem zwrócić (tamże, s. 589). Uwikłany w małwersacje, w latach 60. popełnił samobójstwo.

Koniec lat 40. i pierwsza połowa 50. to były straszne czasy, także dla filozofów. W 1946 roku uniemożliwiono przeprowadzenie procesu habilitacyjnego Adamowi Schaffowi, spotwornialemu dogmatykowi marksizmu-leninizmu. Jednak już dwa lata później habilitację nadał mu sam Bierut⁶. Schaff więc czekał tylko okazji, by wziąć odwet. I wziął go. Ale to nie on przyczynił się bezpośrednio do odebrania Tatarkiewiczowi prawa do nauczania. Stało się to za sprawą donosu Bronisława Baczki, Henryka Hollanda i Leszka Kołakowskiego. Zadenuncjowali profesora przed partyjną kierowniczką filozofii na UW, wskazując na sekowanie przez niego studentów o marksistowskich poglądach i robotniczo-społecznej wrażliwości⁷. Był 1950 rok. Wszyscy trzej zachowali się trochę tak jak dziś – *toutes proportions gardées* – potrafią zachować się niektórzy studenci. Gdy nie podobają się im jakieś zajęcia, piszą „donos” czy jak to się teraz nazywa – biorą udział w „ankietach ewaluacyjnych”. I zwykle jest to początek kłopotów uczzonego.

Po latach Kołakowski tłumaczył swoje zachowanie w kategoriach dialektyki kapłana i błazna – że raz człowiek znajduje prawdę, innym razem zaś ją traci; gdy traci, co był przedtem znalazł, ponownie szuka, tyle że już z większą „czujnością wobec absolutu jakiegokolwiek”⁸. Mnie to nie przekonuje. Nie wiem, jaki miał później stosunek do Tatarkiewicza⁹. Mieszkali obok, pewnie spotykali się przy różnych okazjach. Żaden z nich nigdy o tym nie wspominał.

⁶ R. Kuliniak, M. Pandura, Ł. Ratajczak, *Filozofia po ciemnej stronie mocy. Krucjaty marksistów i komunistów polskich przeciwko Lwowskiej Szkole Filozoficznej Kazimierza Twardowskiego. Część 2*, Kęty 2019, s. 183.

⁷ Tamże, s. 189–192. Zob. odpowiedź profesora, s. 192–194.

⁸ L. Kołakowski, *Kapłan i błazen. Rozważania o teologicznym dziedzictwie współczesnego myślenia*, w: L. Kołakowski, *Pochwała niekonsekwencji*, t. 2, Warszawa 1989, s. 180.

⁹ Wiem natomiast, jaki stosunek do całej sprawy miał Adam Michnik, który gdy tylko usłyszał o niej ponownie z ust biskupa Bronisława Dembowskiego, wycedził: „I po co on to znowu mówi?”. Z. Mentzel, *Kołakowski: czytanie świata. Biografia*, Kraków 2020, s. 106.

W kwietniu 1966 roku Kołakowski zdążył jeszcze wygłosić laudację na 80. urodzinach profesora. Tatarkiewicz zapytany przez swą bratanicę Janinę Suchorzewską, jak się z tym czuje, odpowiedział: „Nie pytaj mnie, jak się czuję. Spytaj lepiej Kołakowskiego, jak on się czuje...”¹⁰. Po Marcu Kołakowski wyjechał z kraju. Interesujące światło rzucają na tamten czas zapiski Władysława Tatarkiewicza zawarte w drugim tomie jego *Dzienników*. Przepatrzmy je krótko.

W 1968 roku po raz kolejny w XX wieku doszło do zerwania ciągłości polskiej filozofii. Najpierw jej dynamiczny rozwój przerwała wojna światowa i okupacja, teraz stało się to za sprawą polskich komunistów. Część filozofów i twórców kultury po raz kolejny straciła pracę i musiała poszukać sobie nowej, na innych wymuszano środkami administracyjnymi emigrację, pozostała większość usiłowała stanąć na nogi, poszukując swego miejsca w nowo tworzonych czy też zreorganizowanych strukturach akademickich. W opublikowanym mniej więcej w tamtym czasie tłumaczeniu *Lamparta* di Lampedusy pada zdanie, że jeśli wszystko ma zostać tak, jak jest, to wszystko należy zmienić¹¹. W 1968 roku wyrócono do góry nogami cały świat, nie zachowując nic z tego, który z takim uporem i poświęceniem zaczęto budować po wojnie. Filozofia w dawnym kształcie przestała istnieć. W Polsce i na świecie. Co na to Tatarkiewicz? Nawet tego nie zauważył.

Nowy rok zastał go w Stanach Zjednoczonych, w Kalifornii. Profesor zaczynał dzień, mówiąc językiem współczesnym, od maili i od „netflixa”. Najpierw starannie porządkował listy z poprzedniego dnia, potem na nie odpisywał. Przedpołudniami zabierał żonę do kina. W *Dziennikach* mamy przegląd najgłupszych produkcji

¹⁰ R. Kuliniak, M. Pandura, *Szermierze polskiej filozofii. Kariery naukowe Władysława Tatarkiewicza i Romana Witolda Ingardena*, w: *Korespondencja Romana Witolda Ingardena z Władysławem Tatarkiewiczem*, red. R. Kuliniak, M. Pandura, Kęty 2021, s. 111.

¹¹ G.T. di Lampedusa, *Lampart*, przeł. Z. Ernstowa, Warszawa 1967. Podaję za: G.T. di Lampedusa, *Gepard*, przeł. S. Kasprzysiak, Warszawa 2018, s. 52, 59.